

Ta historia trwa już 30 lat! Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC



Jubileusze skłaniają do wspomnień. A te, im są odleglejsze, tym więcej w nich znaków zapytania i niedopowiedzeń. 30 lat temu powstało w Gdańsku Hospicjum – pierwsze na Pomorzu, a drugie w Polsce. Żyliśmy wówczas w zupełnie innej rzeczywistości, a upływający czas zatarł pamięć szczegółów. Okoliczności śmierci ukochanych osób nie można jednak zapomnieć. Bliscy tych, którzy w różnych okresach działalności Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC odeszli pod jego opieką, zechcieli wrócić do minionych lat. Rozmowy przeprowadziła Magda Małkowska.

Królewska śmierć

Czy przed odchodzeniem mamy miała Pani już jakiś kontakt z osobami terminalnie chorymi?

Gabriela Wapniarska: Nie, śmierć mamy była dla mnie i wszystkich mi bliskich osób pierwszym tego rodzaju doświadczeniem. Zresztą nikt się nie spodziewał, że ona pójdzie na pierwszy ogień. Kiedy mama zachorowała, była stosunkowo młoda, miała 63 lata. Pełna temperamentu, wesoła, dusza towarzystwa, lubiła chodzić do kawiarni, dokąd zabierała swoje ukochane wnuki. Była bardzo związana z moją córką Igą*. Kiedy umierała, Iga kończyła 8 lat. To było w 1987 roku.

Długo chorowała?

G.W.: 3 lata. Nagle, z dnia na dzień okazało się, że ma raka odbytu. Choroba mamy spadła na nas niespodziewanie. Podała się operacji i podłączono jej stomię. Pocięliśmy, że można z tym żyć jeszcze bardzo długo. Wszyscy byliśmy dobrej myśli, a mama najlepszej. Zawsze była optymistką.

Nie poddała się czarnym myślom?

G.W.: Ależ skądże. To był taki ciepły, serdeczny człowiek. Nie pracowała zawodowo, tylko zajmowała się domem, w którym zawsze było pełno krewnych i przyjaciół. Zawsze sobie marzyłam, że jak córka do-

rośnie, będzie babci pomagać, chodzić na wspólne spacerki, wspólnie spędzać czas.

Jak długo trwał ten względny błogostan?

G.W.: Po ponad dwóch latach nastąpił przerzut do dróg moczowych. Ponownie mama trafiła do szpitala.

Podejrzewam, że tym razem odbiło się to fatalnie na jej samopoczuciu...

G.W.: Stan zdrowia mamy się pogorszył. Podłączono mamie kolejny worek, tym razem do dróg moczowych. Najgorszy stał się ból, którego nie sposób było opanować. Potem już nie żyła długo. Ani szpital nie chciał jej hospitalizować, ani mama nie chciała w nim zostać. Kiedy wróciła do domu, była w bardzo ciężkim stanie.

W jaki sposób trafiła pod opiekę hospicjum?

G.W.: Dokładnie nie pamiętam, od kogo dowiedzieliśmy się o jego istnieniu, może w kościele, a może od życzliwych ludzi. Usłyszałyśmy, że działa takie latające hospicjum, które pomaga osobom w stanie terminalnym. Pojechaliśmy z siostrą do kościoła przy Curie-Skłodowskiej i spotkałyśmy się z ks. Dutkiewiczem. Co to był za miły i dobry człowiek, wtedy widziałam go pierwszy raz. Przyrzekł, że ktoś w najbliższym czasie przyjedzie do mamy i rzeczywiście tak się stało. Teraz już nie pamiętam, kto pojawił się pierwszy. Najczęściej przychodziły tu dwie młode

siostry zakonne – Nikodema i Dominika. Po prostu fantastyczne osoby!

Jak reagowała na nie Pani mama?

G.W.: Mama je uwielbiała. Mówiła o nich: „To są moje anioły”. Od kiedy zaczęły u nas bywać, mama się jakby odmieniła. Nas też one uspokajały, widziałyśmy, jak dobrze ich obecność wpływa na chorą. Czasami miałam wrażenie, że bardziej na nie czeka niż na własne córki.

Czy poza nimi przychodził z hospicjum ktoś jeszcze?

G.W.: Tak, dwa razy w tygodniu lekarz i świecka pielęgniarka. Siostry Nikodema i Dominika, oprócz czynności typowo pielęgniarskich, pełniły też posługę duchową. Zawsze ktoś nad mamą czuwał. Kiedy była już w ciężkim stanie, siostry przyjeżdżały nawet codziennie, o każdej porze. Mówiły, że znają ich wszyscy milicjanci i kiedy pędzą swoim małym fiatem, żaden nie reaguje. Wiedzą, że to do chorych...

Musieliście bardzo odczuć taką pomoc.

G.W.: Obecność hospicjum podczas odchodzenia mamy była dla całej rodziny niesamowitym wsparciem. Czuliśmy się bezsilni, a tak nasze cierpienie mogliśmy przerzucić na osoby z hospicjum...

...które przychodziły nie tylko do mamy.

G.W.: Do nas też. Siostry i lekarz rozmawiali z nami o chorobie, wyjaśniali. Bardzo nas to uspokajało. W tamtych czasach służba

* Iga dorosła i została wolontariuszką medyczną w gdańskim Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC

zdrowia nie miała zwyczaju tłumaczyć nikomu niczego.

Czy dostawaliście państwo z hospicjum również jakieś wsparcie materialne?

G.W.: Tak, tego nie można pominąć. To były trudne czasy, wszystkiego brakowało, a siostry przynosiły maści na odleżyny, opatrunki i silne leki przeciwbólowe. Trudno sobie dziś wyobrazić, jakie były one bezcenne.

To co było nieuniknione, w końcu jednak się dokonało?

G.W.: Nawet trochę szybciej, niż myśleliśmy. Mieliśmy nadzieję, że mama dożyje do Pierwszej Komunii swojej wnuczki Igi,

ale zmarła wcześniej, 5 maja. O tym, że mama jest w agonii, dowiedziałam się od hospicyjnego lekarza. Zaraz przyszła też jedna z hospicyjnych siostr i została z nami do końca. Zresztą chyba byśmy jej nie wypuścili. Dzięki tej siostrze moja mama umarła tak jak człowiek mógłby sobie tylko życzyć, jak królowa. Miała przy sobie wszystkich bliskich, ale my byliśmy jak sparaliżowani. Nie wiedzieliśmy, jak się zachowywać. To siostra zapaliła gromnicę, gładziła mamy rękę, poprowadziła modlitwę. Mama odeszła w wielkim spokoju.

Czy ze strony hospicjum doświadczyliście jeszcze jakieś pomocy?

G.W.: Natychmiastowej. Siostra, która towarzyszyła mamie w chwili śmierci, została z nami i wykonała niezbędne telefony. Pomogła w załatwieniu spraw administracyjnych, z którymi trudno się uporać tuż po odejściu bliskiej osoby. Była dla nas w tamtych trudnych chwilach jak członek rodziny. Kiedy już po pogrzebie wybrałyśmy się do ks. Eugeniusza Dutkiewicza, chcąc w dowód wdzięczności wpłacić ofiarę na hospicjum, ksiądz się nie zgodził. Nic nie chciał przyjąć. Zresztą ile zapłacić za taką dobroć?

Rozmowa tak samo ważna jak pielęgnacja

W którym roku zaczęła chorować Pana żona?

Jerzy Ogonowski: Dużo wcześniej, niż zaczęliśmy zdawać sobie z tego sprawę. Miała problemy z widzeniem, była rozkojarzona, słaba, coś działo się z jej z sercem. Byliśmy u kardiologa, ale on niczego nie stwierdził. Diagnozę, że to zaawansowany rak, usłyszeliśmy we wrześniu 1999 roku. W kwietniu już nie żyła.

Diagnozę postawiono za późno...

J.O.: Niestety. Coś jednak musiało żonę bardzo niepokoić, bo któregoś dnia sama powiedziała, że mam się ubrać i pójść z nią do lekarza. Bardzo mnie tym zaskoczyła, to nie było w jej stylu. Poszliśmy i tak się wówczas zaczęło. Pamiętam, że 13 grudnia pojechaliśmy do Akademii Medycznej. Tam zrobili przegląd i kazali mi żonę zostawić w szpitalu. Pamiętam, jakie wrażenie wywarły na mnie słowa lekarza, który po paru dniach rozmawiał ze mną i poprosił o powiadomienie najbliższej rodziny, że z Barbarą jest naprawdę źle. Okazało się wówczas, że odkryto u niej chłoniaka.

Wszystkie chłoniaki są nowotworami złośliwymi.

J.O.: Tak, to był już wyrok, który zresztą niedługo miał się potwierdzić. Do końca grudnia została w szpitalu, może nawet jeszcze na początku stycznia. Oczywiście na Boże Narodzenie przywozłem ją do domu. Przyjechał wówczas syn z rodziną i to były nasze ostatnie wspólne święta. Potem skierowano żonę do Wojewódz-

kiej Przychodni Onkologicznej. Była coraz słabsza i dziennie przyjmowała około 20 lekarstw.

Kiedy w Państwa życiu pojawiło się hospicjum?

J.O.: Synowa jest lekarzem i kiedy przyjechała do Gdańska na Gwiazdkę, skontaktowała się z hospicjum działającym przy kościele na Curie-Skłodowskiej. Pokazała wszystkie wyniki badań i żona została zakwalifikowana do opieki.

Oczywiście domowej, bo hospicjum stacjonarne jeszcze nie istniało.

J.O.: Na początku stycznia żona wróciła do domu. Na pierwszą wizytę, gdzieś w połowie stycznia, przyszła pielęgniarka Pani Ela Skowrońska i została z nami do końca.

Państwa jedyny syn z rodziną mieszkał daleko, w Ciechanowie. Co znaczyło takie wsparcie ze strony Hospicjum Pallotinum?

J.O.: Proszę Pani, to było tak. Otwieram drzwi, wchodzi kobieta, czarnowłosa, i od razu wiem, bo to się czasami wie, że właśnie nas odwiedził Anioł. Pani Ela przychodziła, by wykonać przy mojej żonie różne zabiegi, ale i porozmawiać, również ze mną. Była zawsze szalenie ciepła i czuła, tylko przyłożyć do rany. Podczas naszych spotkań rozmowa była chyba tak samo ważna jak pielęgnacja.

Jakie to były rozmowy?

J.O.: Bardzo otwarte. Barbara miała stonowczy charakter, pytała więc o różne

rzeczy wprost i otrzymywała jasne odpowiedzi. Nie było od nich żadnych ucieczek, żadnych szeptanek. Zdawaliśmy sobie sprawę, że żona z tej choroby nie wyjdzie zwycięsko. Cuda się zdarzają, ale rzadko.

Czy otrzymali też Państwo jakąś pomoc materialną?

J.O.: Dokładnie nie pamiętam, ale z pewnością Pani Ela przyniosła duży materac przeciwodrażny. Poza tym oczywiście dostawała silne leki przeciwbólowe, maści i opatrunki.

Pamięta Pan inne osoby z hospicjum?

J.O.: Odwiedzał nas jeszcze lekarz z Tczewa, dr Janusz Mielczarek, i młody kapelan, ale niestety nie przypominam sobie jego nazwiska.

Żona odeszła w domu?

J.O.: Tak, już w kwietniu. Pod koniec Pani Ela odwiedzała nas prawie codziennie, ale przy śmierci była tylko rodzina.

Jednak Pana związki z hospicjum się nie skończyły?

J.O.: Trwają nieprzerwanie. Jestem prezesem Chóru Nauczycielskiego w kościele Chrystusa Króla i często śpiewamy w Hospicjum podczas jakichś uroczystych mszy. Z Panią Elżbietą po dziś dzień łączy mnie szczególna więź. W dodatku 1,5 roku temu przyjechała do swojego domu mojego kochanego psa, który nie mógł dłużej u mnie mieszkać. Pani zna to hasło, „Hospicjum to też Życie”, więc nas teraz wiąże bardzo życiowa kwestia.

Na przedprożu nieba

Ile czasu minęło od śmierci Pani męża?

Ewa Barańska: Ostatniego lipca upłynie 8 lat.

A my poznałyśmy się w lutym, w Hospicjum Dutkiewicza, na uroczystości z okazji Dnia Chorego. Jest to dla mnie niesamowite, że ktoś, komu Bliski zmarł wiele lat temu, czuje taki emocjonalny związek z tą instytucją?

E.B.: Tylko że dla mnie to nie jest instytucja, ale drugi dom.

Jeszcze teraz? Po tylu latach?

E.B. Kiedy odchodził Krzysztof, bardzo się ze wszystkimi tu żylałam. Byli mi wówczas bliźsi niż własna rodzina. Oprócz córek. Zresztą niejednokrotnie wciąż tak myślę.

W jakim wieku był Pani mąż, kiedy usłyszał, że medycyna nie ma dla niego ratunku?

E.B.: Miał 46 lat. Ale on nie był z tych, co się poddają. Wprawdzie czuł się nienajlepiej, ale to przede mną ukrywał i w październiku, niecały rok przed śmiercią, uczestniczył jeszcze w zawodach w podnoszeniu ciężarów w Tarnowskich Górach. W dodatku nawet wygrał, co w kontekście późniejszych wydarzeń jest niesamowite. Za chwilę mieliśmy wydawać drugą córkę za mąż i przed nami otwierała się perspektywa spokojnego życia we dwoje. Ileż my mieliśmy planów...

Pani zauważyła, że z mężem dzieje się coś niedobrego?

E.B.: Zauważyłam, chociaż początkowo wypierałam to ze świadomości. Jednak po Wszystkich Świętych poszliśmy razem do lekarza w rejonie, a potem wypadki potoczyły się już błyskawicznie. W połowie listopada powiedziano nam po raz pierwszy, że ma raka płuc, i to IV stopnia. Po drodze był szpital w Sopocie, a w grudniu trafiliśmy do Akademii Medycznej. Mój mąż usłyszał wówczas: „Pan jest śmiertelnie chory” i chyba wtedy dopiero to do niego dotarło. Pamiętam, że zareagował gwałtownie, mówiąc, że o tym wie tylko Bóg. W istocie, przeżył jeszcze bowiem prawie 9 miesięcy.

Od razu trafił do hospicjum?

E.B.: Skądże. On walczył. Zgodził się na eksperymentalne leczenie, mimo groźących silnych skutków ubocznych. I praktycznie wymusił na lekarzu chemię. Pierwszą miał już 20 grudnia.

Więc kiedy?

E.B.: To była chyba połowa maja. Od pewnego czasu pogarszał mu się wzrok, oczywiście z powodu tych nieszczęsnych leków, i przekonał mnie, byśmy poszli do okulisty.



Państwo Ewa i Krzysztof Barańscy w Hospicjum, w dniu ich 24. rocznicy ślubu

Fot. Archiwum rodzinne Pani E. Barańskiej

To nie była dobra wizyta – po raz kolejny usłyszał, że jest bardzo chory i że nic mu nie można pomóc. Poprosił więc o receptę na okulary „na dziś” i zaczęliśmy zbierać się do domu. Po drodze chciałam jeszcze wstąpić do lekarki po receptę na ketonal, ale nagle Krzys poczuł się bardzo źle i zaczął mi odchodzić. Jeszcze tego samego dnia, dzięki nieprawdopodobnej zyczliwości różnych osób, trafił do Hospicjum przy Kopernika.

Był tego świadomy?

E.B.: Tak, wyraził na to zgodę. Mnie przekonał dr Gryniewicz, a ja z kolei przekonałam męża, że tak będzie najlepiej. Niewiele pamiętam z tego dnia, byłam w szoku. Po przyjeździe do hospicjum zaopiekowano się nie tylko Krzysiem, ale i mną. Po paru dniach nastąpiła stabilizacja i poczuł się lepiej.

Jakie wrażenie wywarło na Pani hospicjum?

E.B.: Proszę pani, ja do dzisiaj dziękuję Bogu, że mój mąż tam się znalazł. To stało się tak nagle. Ani ja, ani żaden szpital nie zapewniłibyśmy mu takiej opieki. Potem słyszałam różne komentarze. Odwiedzali go znajomi i zadawali mi pytania, jak udało mi się go tam umieścić. Pewnie po znajomości...

A nie miano Pani za złe, że oddała męża do hospicjum?

E.B.: Oczywiście że tak. Reagowałam zawsze jednakowo, z irytacją. Ci, którzy tak mówili, nie mieli zielonego pojęcia, że właśnie dlatego go oddałam, bo tak kocham. To Hospicjum nazwałam przedprożem nieba, bo w nim jest taka opieka, której najukochańsza matka, żona czy córka nie są

w stanie zapewnić. Przychodziłam do męża codziennie, ale nie dałabym rady zapewnić mu takiego komfortu.

Kiedy się przychodzi tak często, można niejedno dostrzec...

E.B.: Tak, ale ja mam wspomnienia w jednym odcieniu, bardzo jasnym.

Dzięki hospicyjnej opiece darowano Wam 2,5 miesiąca wspólnego życia.

E.B.: Ile ja mam z tego okresu dobrych wspomnień?! Krzys był nawet 3 razy na przepustce, pojechał na zjazd rodzinny do Garczyna, uczestniczył w chrzcinach wnuczki, w hospicyjnym ogrodzie obchodziliśmy 24. rocznicę ślubu, a w lipcu jego ostatnie imieniny. Był tort i szampan dla wszystkich.

Czy wrócił na chwilę do domu?

E.B.: Na dwie noce. Bardzo się bałam, ale mąż tak bardzo chciał w swoje imieniny zobaczyć mieszkanie. Z hospicjum dostałam dokładną rozpiskę leków oraz potrzebny sprzęt i udało się. Umarł w hospicjum, parę dni później, o 4.45 nad ranem. Jak to dobrze, że nie byłam sama; nie wiedziałam, co się ze mną dzieje.

Pamięta Pani swoją pierwszą myśl, kiedy odszedł P. Krzysztof?

E.B.: To był rodzaj rozgoryczenia, żalu, że mnie zostawił.

Dzisiaj okres żałoby ma Pani już dawno za sobą...

E.B.: Już dawno, ale o Hospicjum Dutkiewicza wciąż myślę z wielką serdecznością. Lubię odwiedzać to miejsce, bo poza wszystkim innym, czuję tam obecność mojego męża, jakby wciąż tam był.

Hospicyjne ostatki

Myślałaś wcześniej o hospicjum?

Małgorzata Szotyńska: A wiesz, że tak. Hospicjum pojawiło się w naszych głowach i sercach, kiedy Jerzy był jeszcze zdrowy. Od samego początku chcieliśmy korzystać z możliwości przekazania 1 procenta organizacji pozarządowym i pomyśleliśmy, że nasz pójdzie do hospicjum.

Znałaś księdza Dutkiewicza?

M.Sz.: Trochę mi żał, ale w ogóle, nawet o nim nie słyszałam, ani nawet nie wiedziałam, w którym miejscu znajduje się pallotyńskie hospicjum. We wrześniu 2002 roku przysłałam pracować jako dyrektor do przedszkola na Dębinki. Mniej więcej w połowie miesiąca wpadła do pracy moja koleżanka, wyraźnie pod wrażeniem pogrzebu księdza. Nie miałam pojęcia, o kim mówi. Powoli jednak zaczęłam osadzać się w środowisku. Wszystko się spłotło, bo trzy miesiące później dowiedziałam się o śmiertelnej chorobie mojego męża. Nie wierzę w przypadki...

Na co zachorował?

M.Sz.: Rak prostaty, bardzo złośliwa postać. Jurek miał wówczas 52 lata.

Od razu postawiono taką diagnozę?

M.Sz.: Tak, PSA było niezwykle wysokie. W mojej rodzinie jest lekarz, natychmiast do niego zadzwoniłam i powiedział mi, że muszę się nastawić na najgorsze. Gdzieś wtedy wyjeżdżał i nie był pewien, czy Jerzy doczeka jego powrotu.

Ale doczekał?

M.Sz.: Oj tak, Jerzy żył jeszcze 4 lata. Z powodu zaawansowania nowotworu Profesor, do którego się udaliśmy, nie chciał się podjąć operacji. Błagałam o nią i wybłagałam. Odbyła się w lutym 2003 roku. Potem wyszło, że bez niej mąż umarłby w 3 tygodnie. A tak mogliśmy się sobą jeszcze trochę nacieszyć.

Kiedy choroba wróciła?

M.Sz.: W lutym 2005 roku nagle okazało się, że nie da sobie dalej rady bez kul, a w czerwcu 2006 roku upadł w łazience i złamał sobie biodro. To były przerzuty w kości.

I to był początek końca?

M.Sz.: Właściwie tak. Po tym upadku Jerzy spędził miesiąc w szpitalu, a potem do połowy września przebywał w domu. Wypożyczyłam mu specjalne łóżko i przez 3 miesiące 2 razy w tygodniu przychodziła do nas lekarka z hospicjum. Jedną z moich córek jest położną i pomagała mi przy Jerzym.

Kiedy trafił do Domu przy Kopernika?

M.Sz.: W połowie września. Już wcześniej rozmawialiśmy o takiej możliwości, ale ja ją odpychałam. Temat zawsze podejmował Jerzy. Pierwszy raz o hospicjum powiedziała

nam lekarka z Wojewódzkiego Centrum Onkologicznego, która prowadziła męża, ale wrzasnęłam wówczas: „Nigdy w życiu!”.

Jesteś teraz w stanie odtworzyć dlaczego?

M.Sz.: Wydawało mi się zawsze, że nie podlegam stereotypom, ale niestety tak. Moja pierwsza myśl była chyba taka, że nie mogę zdradzić męża, nie mogę go oddać. Zaczęto mi jednak uświadamiać, że w końcu sama sobie nie dam przy nim rady. Któregoś dnia w domu po prostu zadzwoniono do mnie z hospicjum na komórkę i zaproponowano przyjęcie męża na oddział. Z pewnością udział w tym miał ówczesny proboszcz pallotyńów, ksiądz Marek. Odmówiłam, ale rozmowa toczyła się przy Jerzym, który jakoś się domyślił, kto i po co dzwonił. Kazał mi oddzwonić i poinformować, że jutro będziemy.

To on podjął decyzję?

M.Sz.: Tak, i to bez wahania.

Byłaś wcześniej w hospicjum?

M.Sz.: Pierwszy raz weszłam tam razem z mężem. Nie pamiętam szczegółów wystroju, jedynie dostojny, uroczysty klimat i niezwykle serdeczność ze strony ludzi. Był we mnie wówczas wielki lęk, z każdym dniem coraz większy, i poczucie rozgoryczenia. Miałam silną świadomość uciekającego bezpowrotnie czasu.

Jak nowe miejsce odbierał Jerzy?

M.Sz.: On tam się czuł dobrze i bezpiecznie, wiem o tym na pewno.

Co czułaś, kiedy wróciłaś do domu po oddaniu męża do hospicjum?

M.Sz.: Widziałam, że ma tam dobrą opiekę. Jeszcze bardziej się w tym utwierdziłam, kiedy zabrałam go na Wszystkich Świętych. Miał być na przepustce dłużej niż zwykle,

a był krócej. Zaczęły się bóle, nad którymi nie umiałam zapanować. Do domu przywieziono męża na wózku, ale zabrano na noszach. Od tego momentu już leżał. Pamiętam, że kiedy wracaliśmy do hospicjum, strasznie lało i było to niezwykle adekwatne tło naszych myśli, uczuć i stanu naszych serc.

Jak dzisiaj wspominasz tamten okres?

M.Sz.: Czas w hospicjum był dla nas najpiękniejszy... Myśmy tam bardzo dużo i niezwykle szczerze ze sobą rozmawiali, chociaż te wszystkie rozmowy zostały niedokończone. Za mało ich było. Wiem jednak, że tylko dzięki hospicjum mogły one w ogóle zaistnieć.

Czułaś się tam dobrze?

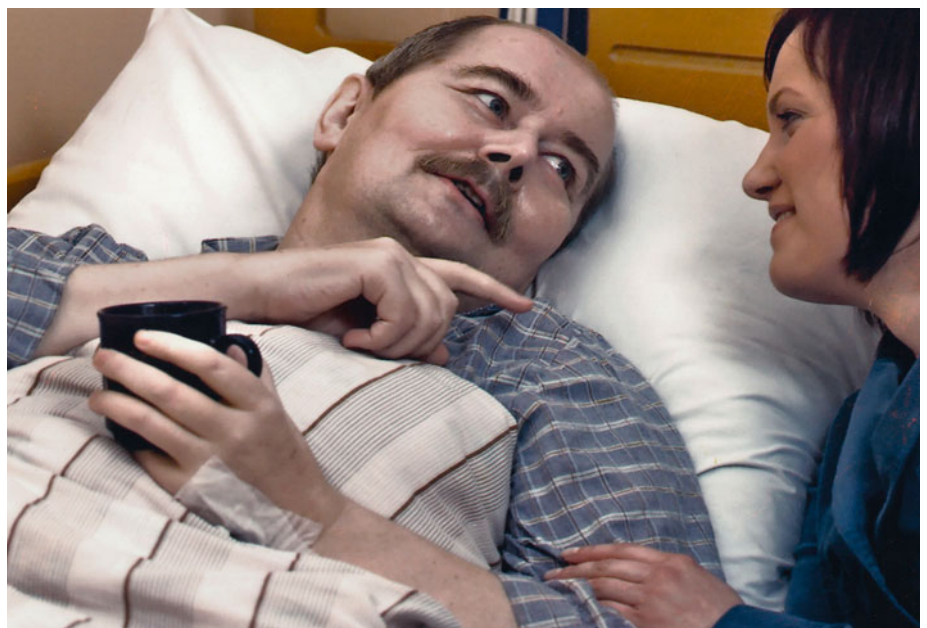
M.Sz.: Jestem osobą spontaniczną i w hospicjum zachowywałam się normalnie, nieskrępowanie, np. kładłam się obok męża na łóżku, nikogo zresztą swoim zachowaniem nie dziwiąc.

Po śmierci Jerzego zachodziłaś na Kopernika?

M.Sz.: Byłam dwa razy i chyba za szybko. Zniosłam to nienajlepiej. A teraz, przed miesiącem, 6 lat po odejściu Jurka, poszłam tam trzeci raz, na Dzień Chorego, i nie chciało mi się wychodzić...

Dlaczego teraz poczułaś się tak dobrze?

M.Sz.: Z perspektywy różne rzeczy postrzegamy trafniej. Po śmierci Jerzego czułam się potwornie zagubiona, potrafiłam wybierać się do hospicjum... do niego. Z odejściem męża pogodziłam się już dawno, ale tęsknota za nim rośnie we mnie coraz bardziej. Odwiedziny po latach hospicjum, w którym spędziliśmy naprawdę wspaniałe chwile, przyniosły mi ukojenie.



Jerzy Szotyński w rozmowie z hospicyjnym psychologiem Agnieszka Paczkowską